
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Eugenia Wójcik – *Pracowaliśmy, żeby dostać chleb i przeżyć*

NKWD wtargnęło do nas nocą 10 lutego 1940 r. Było nas w domu siedmioro – rodzice i pięcioro dzieci. Rodzice zostali zaatakowani bronią, kazano im podnieść ręce do góry i stanąć pod ścianą, a dzieci miały się pakować. Najstarsza siostra miała 12 lat, ja 10, a pozostali byli młodszy. Najmłodsza siostra miała dwa lata. Zdążyliśmy tylko wziąć pościel, z odzieży tylko to, co mieliśmy na sobie, nie dano nam zabrać żywności. Nie powiedziano nam dokąd jedziemy. Kazali ojcu zaprząć konia we własny wóz i tak pod bronią zostaliśmy zawiezieni do Przemyśla na stację. Tam zostaliśmy władowani do bydłowych wagonów. Załadowano cały pociąg, nie pamiętam ile było wagonów. W wagonie było ciasno, na środku stał mały piecyk, były też wycięte w podłodze dziury do załatwienia potrzeb fizjologicznych.

Na stacji staliśmy dość długo, gdyż zwożono ludzi z kolejno wysiedlanych miejscowości. Ludzie w wagonach krzyczeli, płakali i próbowali uciekać. Nie wiem, czy ucieczki się udawały. Mój ojciec też próbował uciec, ale mu się to nie udało. Ludność miejscowa nie mogła nic podawać do wagonów, które były zaryglowane i pilnowane. Nie pamiętam ile staliśmy na stacji. Kiedy już

jechaliśmy, ludzie umierali po drodze z głodu¹. Jedzenie podawano nam raz dziennie lub raz na dwa dni. Picia nie podawano prawie wcale. Enkawudzista raz dziennie otwierał drzwi, wynoszono wtedy wiadro z odchodami i pozwalano też przynieść wiaderko wody – najczęściej robił to ktoś z deportowanych. Ludzie bili się o tę zimną przecież wodę, poza tym drapaliśmy z okien śnieg, żeby mieć wodę.

Nie było żadnej opieki medycznej, chyba że ktoś spośród deportowanych był lekarzem. Chorych nikt nie ratował, gdy ktoś zmarł, to wyrzucano go na tory². W czasie tej podróży zmarła mi moja dwuletnia siostra, której ciało także enkawudzista wyrzucił na tory. Zmarła również matka mojej koleżanki Marii Mielnik. Koleżance tej zmarły z rodziny dwie lub trzy osoby.

Nie pamiętam, ile jechaliśmy, a na dawnej granicy polsko-radzieckiej nie było przesiadki. Zawieźli nas do Mołotowa, a z tego miejsca pod konwojem wsadzono nas na tzw. podwozy, czyli sanie. Każdą rodzinę wieziono oddzielnie. Zawieziono nas do Kriwoja. Tam mieszkaliśmy w długich odrutowanych barakach, były w nich porobione pod ścianami z obu stron prycze. Dla każdej rodziny była jedna prycza, a nas było sześcioro. Enkawudzista stał cały czas w drzwiach i nie można było odejść od baraku dalej, niż na dziesięć kroków. W baraku było 200-250 osób. Posiłek dostawaliśmy raz dziennie, gdy ktoś pracował to dostawał 40 dekagramów chleba. Początkowo dzieci nie dostawały przydziału chleba. Mama z ojcem pracowali w lesie przy ścinaniu drzewa, ja i siostra też poszłyśmy do pracy w lesie, zbierałyśmy gałęzie. Do pracy wożono nas kolejką, nie pamiętam jakie były normy do wypracowania, ale za pracę nic nam nie płacono. Traktowano nas jak więźniów w obozie, choć nie byliśmy sądownie karani.

Pracowaliśmy, żeby dostać chleb i przeżyć. Raz dziennie mogliśmy zagrzać garnek wody, bo na cały barak były dwa piecyki. Było robactwo i wszy, bo nie było warunków do utrzymywania higieny, środków czyszczących itp. Nikt nie widział tam lekarza, mięsa, owoców. Dzieci nie chodziły do szkoły, nie było religii, chyba że ktoś modlił się sam. Bardzo chorym dzieciom pozwalano na krótki pobyt w szpitalu. Tak właśnie ja przebywałam w szpitalu w Witlanach, gdzie zawiózł mnie ojciec. On też musiał mnie zabrać ze szpitala po kilku dniach.

Moja matka dorabiała plotąc łapcie i maty, bo całego majątku mieliśmy dwie poduszki i pierzynę. Matka zachorowała jeszcze w 1940 r., była chora na tzw. galopujące suchoty, czyli na płuca. Choroba ta wywołana była niedożywieniem. Matka zmarła wiosną 1941 r., zmarła mi również moja ośmioletnia letnia siostra. Pogrzebu nie wolno było robić. Ojciec z drugim mężczyzną zbili kilka desek i w tej trumnie pochowali matkę w lesie. Żadne z nas nie było przy pochówku.

Nie mieliśmy żadnych kontaktów z ludnością miejscową, nie dostawaliśmy też listów ani paczek, gdyż wysiedlano całe wsie. Nie pozwalano na łączenie rodzin z różnych *posiołków*. Mówiono nam, że „zobaczymy Polskę, jak swoje ucho”. Nie pamiętam systemu kar, ale wszyscy chodzili do pracy,

¹ Z reguły podczas transportów umierały osoby stare i chore.

² Ciała zmarłych zesłańców zabierała obsługa składu podczas postoju

ponieważ się bali. Nie wiem od kogo dowiedzieliśmy się o amnestii, gdyż zajmował się tym ojciec.

W Kriwoje były z nami dwie rodziny z naszej miejscowości: Kuźmińscy i Hoch. Oprócz nich pamiętam jeszcze rodzinę Daskoczów. Dużo było górali, a także rodzin żydowskich. Jedna rodzina górali uciekła, nie wiem, czy ich złapano, ale w naszym *posiołku* już się nie pojawili. Uciekł także Andrzej Buc z żoną. Ucieczka się udała, choć żona mu zmarła, ale nie wiem, czy w czasie ucieczki czy później. Nie wiem też jak przedostali się przez granicę.

Nie pamiętam kiedy nas uwolniono z Kriwoje. Musiało to być wiosną albo latem [1941 r.], gdyż było ciepło i pamiętam jak ojciec ze swym bratem płynęli tratwą po rzece Kamie i krzyczeli, że jadą do Saratowa. Po pewnym czasie pojechaliśmy i my (ja z siostrą i bratem) do Republiki Tatarskiej³. Nie pamiętam czym odbyliśmy podróż, chyba jechaliśmy pociągiem. Trafiliśmy do kołchozu „Pobieda”. Tam próbowaliśmy znaleźć miejsce do spania i pracę. Byliśmy bosi i goli. Dostaliśmy jedną kwatere z malutkim piecem na środku dla czworga ludzi. Nie mieliśmy pożywienia, ojciec chodził dużą ilość kilometrów, żeby przynieść trochę drzewa na opał. Ja z siostrą żebrałam i tak przetrzymaliśmy zimę.

Ojciec zaczął pracować, dostawał kartofle i mąkę. Ja z siostrą też pracowałyśmy, pasłyśmy owce, a malutkiego brata zabierałyśmy ze sobą. Ojciec wyjechał do polskiego wojska, tam był później operowany i po tej operacji znów wrócił. Dostaliśmy do mieszkania mały kącik dwa na trzy metry. Było to w łaźni, ojciec zrobił prycę i tam mieszkaliśmy. Była tam też pani Kuźmińska, która pracowała w stołówce. Chodziliśmy tam i ona czasami wlewała nam trzy porcje zamiast dwóch, więc mogliśmy zjeść wszyscy. Mieszkaliśmy tu do jesieni, później ojciec przewiózł nas do kołchozu „Kalinówka”. Tu dostaliśmy malutkie mieszkanie. Było nam tutaj już trochę lepiej, bo pracowaliśmy we trójkę, oprócz małego brata. Spotkaliśmy tu Żydówkę panią Hochman, która nam później pomagała. Pracowała ona w piekarni, to czasami dawała nam trochę chleba. Ja z siostrą pracowałam przy wykopkach, więc zostawiałyśmy gdzieś w zaznaczonych miejscach ukryte ziemniaki. Później przychodziłyśmy w nocy, żeby je zabrać. W czasie pracy na kombajnach zostawiałyśmy i przynosiłyśmy trochę zboża. Później ojciec zanosił je do młyna do Czystopola. Dzięki temu mieliśmy mąkę na kluski, bo 40 dekagramów chleba na osobę to było stanowczo za mało. Ojciec chodził do młyna siedem kilometrów. Pracowałam też w lesie przy zwałaniu drzew na metry, po pas w śniegu. Jechaliśmy gdzieś na tydzień lub dwa do takiej pracy, nocowaliśmy w barakach. Powrót i znów wyjazd. W kołchozie nie mieliśmy żadnej pomocy ze strony Ambasady Polskiej czy lekarza. Pracowałam też wożąc zboże wołami do Czystopola i wносиłam te półmetrowe worki na plecach na górę do spichlerza. Zbieraliśmy też zdechłe konie, dzieliliśmy na części i zabieraliśmy do zjedzenia.

Ojciec dowiedział się w końcu, że możemy wracać do Polski i to on załatwiał paszporty. Zmuszano nas do przyjmowania obywatelstwa radzieckiego, ale ojcu udało się uzyskać polskie paszporty w 1945 r. i w maju

³ Chodzi o utworzoną w 1920 r. Tatarską ASRR (obecnie Tatarstan) w składzie Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej.

następnego roku wróciliśmy do kraju. Jechaliśmy dwa miesiące w wagonach bydłych, dawano nam jeść, ale warunki podróży były podobne do tych, w jakich jechaliśmy na deportację. W czasie podróży chorowała mi na malarię siostra, chorował też ojciec, który zmarł wkrótce po powrocie.

Przywieziono nas do Krakowa, ale ojczyzna lichy nas przywitała, poczęstowano nas tam zupą grochową z robakami. Miejscowa ludność nie chciała dzielić się z nami otrzymanymi paczkami. Z Krakowa pojechaliśmy do Przemysła, bez żadnych skierowań czy pomocy. Tutaj pracowałam u pani Halewskiej przy roznoszeniu octu. W końcu pojechałam do Łodzi, tak jak stałam – w jednej sukience. Mieszkałam w hotelu, a pracowałam u ludzi, żeby zarobić na życie. Pracowałam u Żydów, nazywali się Chmielewscy. Mój pracodawca był dyrektorem w przemyśle drzewnym. Ja opiekowałam się ich dziećmi. Gdy wyjeżdżali w latach pięćdziesiątych XX w. do Izraela, to pan Chmielewski załatwił mi pracę na ul. Żwirki 17 w prasie. Miałam małe mieszkanie 11 metrów kwadratowych powierzchni, z którego zresztą próbowano mnie wyrzucić.

Gdy po transformacji ustrojowej w Polsce na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. środowiska Sybiraków zaczęły się jednoczyć, a badań nad losami Polaków na Wschodzie podczas II wojny światowej nie zabraniała już cenzura, tematyka ta weszła do kanonu edukacji historycznej na polskich uczelniach. Tak było i na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie w Katedrze Historii Europy Wschodniej studenci pod opieką ówczesnego dra Albina Głowackiego spisywali relacje byłych zesłańców.

Autorką niniejszych wspomnień – spisanych w 1994 r. przez Joannę Żelazko – jest Eugenia Wójcik (z domu Zwierzyńska). Urodziła się w 1928 r. we wsi Bachów pod Przemysłem (województwo lwowskie), skąd 10 lutego 1940 r. została wraz rodzicami i czwórką rodzeństwa deportowana do Kriwoje w obwodzie mołotowowskim (Rosyjska FSRR). Na zesłaniu zmarła jej matka i siostra. Po „amnestii” rodzina przeniosła się do Tatarskiej ASRR, skąd repatriowali się w maju 1946 r.

Niniejsza relacja jest zapisem wspomnień osoby, która w chwili deportacji miała zaledwie 11 lat. Opis zapamiętanej przez nią podróży na Wschód zawiera drastyczne szczegóły (wyrzucanie ciał zmarłych zesłańców bezpośrednio na tory). Wydarzenia te w rzeczywistości prawdopodobnie miały inny przebieg. Zmarłych zesłańców faktycznie wynoszono z wagonów i układano przy torach, jednak ciał nie porzucano po drodze. Deportacja była dla bardzo młodej wówczas Eugenii taką traumą, że w pamięci szokowanej dziewczynki pewne wydarzenia uległy wyolbrzymieniu lub zniekształceniu.

Relacja zawiera wiele interesujących i wartościowych opisów egzystencji zesłańczej, w tym strategii przetrwania. To autentyczny zapis wstrząsających przeżyć w ZSRR, które odbiły się na całym życiu Autorki. W Archiwum Sybiraków UŁ relacja jest oznaczona sygnaturą R-76.

Wojciech Marciniak